

# Drapieżcy

„Zwierzęta pełne wolności  
Drzemią spokojnie tej nocy”

*Richard Wilbur, Zwierzęta*

## Trójkąć śmierci

Podczas rutynowego obchodu Jeziora nadleśniczy Andrzej Hok dokonał niecodziennego odkrycia. Znalazł w Zatoce Spokojnego Żeru trzy martwe zwierzęta złączone uściskiem: szczupaka, wilka i bielika.

Początkowo sądził, iż trafił na ślad kłusowniczej działalności. Ale przeczyło temu odgryzione skrzydło orła. Przytrzymwany jego szponami szczupak miał rozdarty brzuch. Wilk był okulawiony. Ostry dziób bielika głęboko poranił też wilczą szyję. Woda wokół była czerwona od krwi, a ciało wilka jeszcze ciepłe. Do dramatu musiało dojść tuż przed przybyciem nadleśniczego.

Skontaktowaliśmy się w tej sprawie z Instytutem Ochrony Przyrody. Nie potrafiono wyjaśnić, jak do podobnej sytuacji mogło dojść. Natomiast wyrażono zdumienie obecnością wilka. Gatunek *canis lupus* zniknął z tego obszaru blisko pół wieku temu. Pojawienie się wilka zapewne ma związek z wieloletnim programem całkowitej ochrony Jeziora i przyległych terenów, zmierzającym do przekształcenia strefy w rezerwat krajobrazowo-ornitologiczny.

„Gazeta Pomorska” nr 217, 18.09.1995 r.

## Maj

Korony grabów i lip roztapiały się na tle szarzejącego nieba. Grąd powoli tonął w mroku. Ucichły ptaki. Jedynie z oddali niosło się przytłumione pohukiwanie puszczyka, czasem mocniej zaszeleściły liście.

Wilk opuścił dzienną kryjówkę w tarninie i ruszył przed siebie, uważnie węsząc. Nad runią płożył się intensywny zapach konwalii. Nie przeszkadzało to tropiącemu. Przeciął świeży ślad wszędobylskiego lisa, obwąchał wypluwki sowy pod dębem i szukał dalej. Wyostrzone głodem zmysły powiodły w kępę leszczyn. Tym razem trafił na coś interesującego. Trop sarny. Wprawdzie trochę zwietrzały, ale warty podjęcia.

Blisko kwadrans kluczył z nosem przy poszyciu. Jakiś czas tropy sarny pokrywały się z tropem dzika. Rozłączyło je obrzeże lasu. Skręcił za sarną i zatrzymała go rzeka. Tu ślad zapachowy się urywał. Zmieszany obwąchał brzeg w górę oraz nieco w dół rzeki. Sarna musiała przeskoczyć na drugą stronę lub do wody wejść. Rzeka w tym miejscu była dostatecznie wąska.

Rozterkę uciął nowy zapach, natychmiast wzbudzający czujność. Zapach niebezpieczeństwa. Uniósł łeb, głęboko wciągając powietrze. Mimowolnie zjeżył sierść na karku. Powiew północnowschodniego wiatru przesycił woń człowieka. Bez wahania obrócił się i zniknął tam, skąd przybył. W tej chwili lęk kojarzony z właśnie wyłowionym zapachem był silniejszy od głodu.

Mijając kryjówkę w tarninie skręcił na południowy zachód. Tam grąd przechodził w młodnik pleciony meandrami płytkiego strumienia. Przebrnął przez wodę, otrząsnął sierść i pobiegł żwawiej w stronę wzgórza pokrytego rozbijałym żarnowcem.

Znów odezwał się żołądek. Wprawdzie pięć dni temu udało mu się upolować zdziczałego psa, dobę wcześniej wiewiórkę, ale były to jedyne większe posiłki od dwóch dni. Nie licząc zwierzyny drobniejszej: kreta, nornicy czy padalca. Nie przepuścił nawet jaszczurce lub ślimakowi, jeśli się trafiły. Lecz i tak wciąż mu towarzyszył dojmujący głód.

Był już stary. Bardzo stary, osłabiony i rozdrażniony. Minionej zimy Odtrąciło go stado. Raptem, z dnia na dzień został sam. Bez potrzebnego oparcia u współplemieńców i bez większych szans na godziwy posiłek. Inaczej przecież polowało się w grupie. A przy podziale łupu między członków stada zawsze i jemu coś się trafiło. Ciężko przeżył wykluczenie. Długo też nie umiał pogodzić się z nową sytuacją. I nim ostatecznie ruszył na samotną włóczęgę, błąkał się jakiś czas w okolicy watahy.

Przewędrował tak setki kilometrów. Wolno, z przystankami, zmierzając na zachód. Nie wiódł go żaden określony cel. Prowadziła raczej wypadkowa zdarzeń. Czyli coś, co wynikało z potrzeby zaspokojenia głodu oraz zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Wędrował głównie nocami, z daleka omijając osiedla ludzkie, drogi i wszelkie rejony wzbudzające uczucie zagrożenia. Aż dotarł tu, w pobliże silniej zalesionych terenów.

Na szczycie wzgórza zwolnił i począł węszyć. Też nasłuchiwał. Tam, niżej, po drugiej stronie wzgórza, coś się działo. Chwilowo nie wiedział co, ale wyczuwał jakiś ożywiony ruch. Księżyc na chwilę wyrzwał zza chmur. Obszerną łąkę zalało sinosrebrne światło. Na pograniczu niedalekiego zagajnika bezgłośnie szybowała sowa. Nieco dalej druga, właśnie nurkująca ku ziemi. Pojął i stęzał podniecony. Do pyska gwałtownie napłynęła mu ślina. Uszy nie myliły. Zewsząd, gdzie łba nie obrócił, docierały przytłumione odległością, jednak rozpoznawalne, wysokie piski. Prychnął połaskotany w nozdrza puchem dmuchawca i ostrożnie ruszył zboczem.

W swoim przeszło dwunastoletnim życiu takiego zatrzęsienia gryzoni nie widział. Równina aż się roiła od polników. Zrazu stał oszołomiony, jakby nie dowierzając uszom i oczom. Wreszcie letarg ucięły dwa przemykające obok cienie. Skoczył, lądując na wyprostowanych przed sobą łapach. Ale nie trafił. Za drugim razem także chybił, trochę zbyt gorączkowo usiłując pochwycić uciekiniera. Zresztą i refleksu nie miał takiego, co niegdyś. Dynamiczne zwroty sprawiały mu kłopot.

Tymczasem najbliższe polniki rozpierzchły się. Wilk wysoko uniósł szyję, nastawił uszu i powoli przeszedł parę kroków. Stąpał delikatnie, z trudem hamując odruch ataku. Równinę porastała wysoka trawa. Dostyc ciężko było cokolwiek w niej wypatrzyć nawet przy księżycowym świetle. Głównie kierował się więc słuchem. Skoczył po raz trzeci. Wreszcie kolejne kłapięcie zębami dało efekt. Przełknął gryzonia i natychmiast wyprysnął w górę ponownie. Następnemu polnikowi udało się czmychnąć za wysepkę strzelistej stokłosa. Basior okręcił się i z zapamiętaniem począł kłapać między kępami gęstej trawy. W końcu pochwycił i drugiego gryzonia. W dwadzieścia minut upolował dalsze trzy.

Zaspokoiwszy pierwszy głód już nie miotał się beładnie. Gdy tylko powściągnął nerwowość ruchów, polniki prawie same pchały się przed pysk. Wystarczyło bez pośpiechu stąpać pod wiatr. Niebawem wpadł w trans, systematycznie, co kilka minut, wyłuskując dalsze ofiary.

Zagęszczenie gryzoni zwabiło na ucztę również inne drapieżniki. Prócz wcześniej dostrzeżonych sów grasowały tu dwa lisy oraz łasica. Wilk wyczuł ich obecność, jednak nie przeszkadzało mu to. Nie teraz. Także lisy wyłowiły woń obcego przybysza, kwitując przykre w innych okolicznościach odkrycie przelotnym fuknięciem niezadowolenia. Wobec równie rzadko spotykanej obfitości pokarmu między konkurującymi drapieżnikami zapanował cichy, tymczasowy rozejm.

Nad ranem głodujący szereg dni basior miał dość. W jego żołądku zniknęło trzydzieści sześć polników. Może pojedyncze kąski nie należały do zbyt wielkich; ale ich suma przyniosła całkiem

przyzwoitą wyżerkę.

Po trosze zmęczenie, a po trosze rozleniwiające uczucie sytości, kazało mu rozejrzeć się za jakimś legowiskiem. Niewiele szukając wybrał pobliski zagajnik. Jednak nim złożył swe kości na wypoczynek, pomyszkował trochę wokół drzew. Dyktowała to ostrożność, którą miał we krwi.

Niebo od wschodu jaśniało, różowiąc blade pasma chmur. Nadciągał chłodny świt. Nic nie wzbudziło nieufności wilka. Z jednym wyjątkiem. Gdy od północnego zachodu pojawił się ogromny ptak. Szybował wysoko, w ogóle nie poruszając skrzydłami. Basior przyglądał się mu jakiś czas uważnie. Owszem, spotykał często krogulce, jastrzębie, myszołowy. Ale równie imponującego ptaka dotąd nie widział. Wzdrygnął się, czując przelotny dreszcz. Nie był to strach, lecz na wszelki wypadek co rychlej zaszył się w zagajniku.

Blisko godzinny sen rozproszył dobiegający znad krzewów szelest. Wilk uniósł łeb i odprowadził wzrokiem wzlatającą świstunkę. Nasłuchiwał chwilę. Nic nadzwyczajnego się nie działo. Od łąk niosły nawoływania derkacza, gdzieś dalej skrzeczał potrzeszcz, z głębi zagajnikowych drzew śpiewała wilga. Poza tym spokój. Mógł na powrót oddać się drzemce. Nim to jednak uczynił, zmienił miejsce. Nowe legowisko oświetlało słońce, przepędzając wczesnoporanny chłód. Z lubością zaczął ogrzewać boki.

Dopiero teraz, w słonecznych promieniach, widać było, że jego dobre lata bezpowrotnie minęły. Skóra zapadała się na żebrach. Lewy bark i okolice grzbietu znaczyły pokaźne blizny po niegdysiejszym spotkaniu z odyńcem. Zęby miał pożółkłe, częściowo starte, z ubytkami siekaczy. Przebyta ubiegłej wiosny nosówka pozostawiła mu w spadku osłabiony słuch i wzrok. Też sierść straciła zdrowy wygląd. Co prawda teraz liniał, tracąc zimowe futro. Lecz i tak nic nie mogło przywrócić dawnego połysku. A nadto od jakiegoś czasu wciąż silniej począł dręczyć go reumatyzm.

Kleszcz wpił się mu za uchem. Wytrącony z drzemki przeczochnął tylną łapą swędzące miejsce. Następnie rozejrzał się, wykonał parę obrotów i znów legł, tym razem poddając ożywczemu słońcu drugi bok.

Przyjemne ciepło oraz nasycony żołądek zmieniły treść sennych marzeń. Ostatnio zwidowały mu się wspólne z watahą łowy na jelenie, pościgi za sarnami, wreszcie sute uczyty. Obecnie w migawkowych obrazach ujrzał waderę otoczoną wilczętami. Popiskujące pucołowate mordki z uszami w szpic, puszyste i rozbrykane. Stary basior przez sen merdał ogonem i cicho powarkiwał.

Widzenie senne ulotniło się równie szybko, jak się pojawiło. Ze snu ostatecznie wytrącił nowy zapach. Wilk dźwignął się. Wiatr przyniósł wiadomość, którą należało sprawdzić.

Przemknął ostrożnie na skraj zagajnika. Łąkę, aż do wzgórza, patrolowały z powietrza myszołowy. Poza nimi nie dostrzegł nic. Jednak węch prędko utwierdził go w tym, że zwietrzył konia. A gdzie koń, tam człowiek – prosty do skojarzenia związek. Przynajmniej wilkowi nie sprawiał trudności.

Tak czy inaczej postanowił się wycofać. Przebiegł z powrotem zagajnik i nie zważając na dzienną porę ruszył otwartą przestrzenią w przeciwną stronę. Na horyzoncie, gdy wysoko zadarł łeb, widniała linia lasu. Powinien tam dotrzeć bardzo szybko. Z truchtu przeszedł w niespieszny galop. Teren porastały miejscami kępy wybujałej trawy, miał więc osłonę.

Wtem, niemal sprzed nosa, wyskoczył spłoszony szarak. Basior odruchowo puścił się za nim w pogoń. lecz zaraz zrezygnował. Uciekinier był młody, silny i prędko. Doścignięcie go miało bardzo małe szanse powodzenia.

Jeszcze wciąż żywiej krążyła w nim krew, gdy w chwilę później doznał napaści czajki. Z głośnym

krzykiem i świstem skrzydeł próbowała odwieść intruza na bok. Przypadkowo wdepnęła w jej gniazdo. Gratka niespodziewana. Zając wprawdzie uszedł, ale za to wygarnął wszystkie pisklaki. Cóż, gdyby był wiedział jakim rwetesem okupiona zostanie owa drobna przekąska, zapewne byłby z niej zrezygnował.

Bowiem zdesperowana czajka nękała go aż do lasu. Odetchnął dopiero między drzewami.

Grunt obniżał się i wilczy nos rychło zlokalizował wodę. Wątki strumyk nie bez trudu torował sobie drogę przez zasypane gałęziami poszycie. Przybysz z przyjemnością zaspokoił pragnienie. Chłepcąc dostrzegł piskorza. Błyskawicznie klapnął zębami, ale rybka zdołała umknąć.

Wobec takiego wyzwania wszedł w leniwy nurt i począł iść pod prąd. Dawno tego nie robił. Wyłuskiwanie tłustych i słodkich w smaku piskorzy trochę przypominało utarczki z polnikami na łące. Z tą jedną różnicą, że tu nie skakał, lecz mozolnie podważał kamienie i gałęzie łapami albo nosem. Wychwytyjąc kłapięciem szczęk rybki, nim zdążyły uciec. Większość naturalnie uchodziła bez szwanku.

Mniej więcej po dwóch kwadransach zabawa z rybem drobiazgiem znużyła włóczęgę. Zdecydował się, poszukać czegoś treściwszego. Gdyby chciał polegać wyłącznie na słuchu, byłby kłopot. Powietrze aż wibrowało od krzyżujących się ptasich głosów. Na ogół zlewały się ze sobą w jeden harmider. Szczyt lęgowej pory rozgorączkowały skrzydlatych mieszkańców. Co rusz któryś z nich solowym zrywem przebijał tło. Raz kukułka, raz wilga, innym razem turkawka. Nie milczały też kraski ani dzięcioły. A nad wszystkim rozbrzmiewał słowiczy śpiew.

Wilk zawierał głównie węchowi. On to wiódł najpewniej. W sprzyjających okolicznościach i przy odpowiednim wietrze potrafił wyczuć ofiarę na kilometr lub dwa.

Teraz nie musiał specjalnie węszyć. Ciekawe zapachy krążyły w zasięgu nozdrzy. Należało jedynie wyselekcjonować najbardziej interesujące, Szybko sobie z tym poradził. Pośród dominujących woni myszy i kun uwagę zwróciły dwa świeże tropy: borsuka oraz jenota.

Pierw ruszył za jenotem. Ale po kilku metrach jego trop przecięła świeża ścieżka zapachowa borsuka. Cofnął się do punktu wyjścia i jeszcze raz z nosem przy ziemi zbadał ślady. Wątpliwości zniknęły, zyskał pewność. Gdzieś w pobliżu zalegały borsuki. Gdy tylko przesunął się ku północy, intensywność zapachów wzrosła. Ze wzmożoną ostrożnością podążył w stronę niskich świerków. Gęstwa zarośli utrudniała ciche podejście. Co parę kroków zatrzymywał się i słuchał.

Wyglądało na to, że tym razem lepiej zaspokoić głód. Ledwie o trzy skoki dalej z ziemi pod rozłożystym świerkiem wystawał borsuczny pysk. A u wylotu nory, na mchu, baraszkowały podrośnięte już młode. Oświetlone smugą słońca popielatobiałe tłuszczoszki na równi z pilną matką czuły się bezpiecznie. Do końca nie odkryły czyhającego drapieżnika.

Doświadczony łowca cierpliwie czekał, póki jeden z beztroskich malców w ferworze zabawy przynajmniej trochę się oddali. I już prawie skoczył, gdy nagle zdradziecko zaskrzeczała sójka. Ostrzeżone borsuki natychmiast zniknęły pod ziemią. Wilk zatrzymał się u wejścia do nory jak niepyszny. Z głębi docierało gniewne posapywanie samicy! Nie mógł jej dosięgnąć. Zresztą, w tej sytuacji nawet by nie próbował. Szło mu o małe. A te miał szansę dopaść jedynie na otwartej przestrzeni. Okazja łowu przepadła.

Dzięki hałaśliwej sójce wieść o polującym drapieżniku rozeszła się prędko. Rozdrażniony wilk ruszył truchtem, byle dalej od nieznośnego ptaka.

Zwolnił dopiero po kilkuset metrach. Przeciął piaszczysty dukt i zanurzył się w sosnowym borze.

Obszar przejściowych grzęzawisk też został z tyłu. Powietrze przesycił zapach żywicy. Tuż przed nim trwała radosna gonitwa wiewiórek wokół pnia sosny. Pierzchnęły na jego widok. Niebawem dotarł na skraj boru. Dalej otwierały się puste przestrzenie torfowisk. Właśnie zamierzał wrócić pod osłonę drzew, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zamarł z wrażenia: Oto niespodziewanie pojawiła się nowa szansa na łup. Potężne ptaszysko, które widział już wcześniej, wlokło przy ziemi zającą, usiłując wzbic się do góry. Dzieliło ich raptem może dziesięć metrów.

Pochwycił szaraka za skoki i złączeni z bielikiem ofiarą przeokoziółkowali wśród traw. Sypnęły pojedyncze pióra spod trzepoczących skrzydeł. Zdążył jeszcze dostrzec groźnie rozchylony dziób, za nim łpiące żółtobrązowe oko i już ze zdobyczą w pysku umknął między drzewa.

Zuchwałość desperackiego ataku została nagrodzona. Łapczywie rozrywał zającą. Trzask miażdżonych łamaczami kości słychać było daleko. Lecz wilczej uczyty nie odważył się przerwać nikt. Tylko lisy, zwabione zapachem świeżej krwi, krążyły w pobliżu, licząc na resztki.

Wreszcie posilony ruszył truchtem wzdłuż obrzeża lasu. Przyjemny ciężar w żołądku poprawił jego samopoczucie. Zamierzał poszukać miejsca na legowisko, gdy niespodziewanie zwietrzył nowy trop zającą. Tym ciekawszy, że wzbogacony wonią krwi. Obwąchał dokładnie przyległy teren. Tropy rannego szaraka wiodły ku wschodowi, klucząc na krawędzi lasu i torfowiska. Spróbował podążyć obiecującym śladem.

Jednak kilkaset metrów dalej zapał wilka ostygł, bowiem silniejszy powiew północnego wiatru przyniósł ledwo wyczuwalną woń człowieka przemieszaną zapachami bydła. Gdzieś za torfowiskiem musieli mieszkać ludzie. Nie zastanawiając się dłużej skręcił na południe, w głąb sosnowego lasu.

Wkrótce grunt znów zaczął się obniżać. Zniknęły z poszycia kwitnące głogi i berberysy. Teraz ruń porastały niebieskie orliki, janowce, miejscami pokazywała się borówka bagienna. Nieco pojaśniało od góry. Bór zastąpiły łęgi przerośnięte jesionem i olszą.

Między drzewami żwawo mknęła kraska. Wilk powiódł za nią wzrokiem i zwolnił. Nozdrza wyłowiły coś nowego. Obok rozciągało się tarzawisko dzików. Stał z czujnie uniesionym łbem. Już wcześniej mijał zbuchtowaną ziemię, lecz ślady były stare. W przeciwieństwie do teraźniejszych. Dosyć wyraźnie zwiastowały bliską obecność lochy z warchlakami. Ostrożnie zaczął się wycofywać. Doświadczył w przeszłości podobnych spotkań i aż nadto dobrze wiedział, że dzików należy unikać. Zwłaszcza zaś samic z młodymi. Tym bardziej będąc w pojedynkę.

Bezszelestnie okrążył niebezpieczny rejon i podjął trucht na południe. Łęg rozbrzmiewał ptasim śpiewem. Gdzieś z oddali niesło zapach świeżej brzeziny i przekwitającej czeremchy. Okolica wydawała się wystarczająco spokojna, tylko nazbyt mokra. Chciał odpocząć, ale w miejscu suchym. I możliwie nasłonecznionym. Choć to akurat nie było możliwe, gdyż niebo zaczęły zasnuwać chmury.

Nadciągającą burzę czuł od dłuższego czasu. Przepowiadały ją różne oznaki, w tym i zewnętrzne. Lecz najdobitniej o załamaniu pogody informował reumatyzm. Bóle odczuwane zwłaszcza w stawach kości nóg i obręczy barkowej. Tak dokuczliwe, że momentami utykał.

Niebawem grzęzawisko zostało w tyle. Las przerzedził się i dosyć nagle otworzył panoramę nadwodnych oczeretów. Stary włóczęga ze zdumieniem patrzył na zatokę. Obecność rozległej wody trochę go zaskoczyła. Wyszedł na sam brzeg węsząc i wyciągając szyję. Chciał dojrzeć przeciwległy brzeg, ale jakby ziemi po drugiej stronie nie było. Owszem, nieco dalej widział wyspę, lecz poza nią nic. Tylko woda, woda, woda. Nieznany mu dotąd jeziorny bezkres.

Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia zaczął penetrować brzeg zatoki. Z jednej strony okalał ją wrzynający się w jeziorną toń cypel. Równie wąski pas ziemi, choć krótszy i gęściej obrosnięty

trzciniami, graniczył zatokę z drugiej strony. Oba cyple pozbawione były drzew, jeśli nie liczyć kilku mniejszych olch. Za to nad równą linią trzcini wychylały się krzewy.

W miejscu, gdzie z lasu wyszedł, nieregularny brzeg meandrował, tworząc labirynt głębszych rowów i mikrozatoczek. Z łatwością przeskakiwał je w pogoni za masowo wypłaskanymi kaczkami. Ptactwo wodne podnosiło się do lotu i zaraz siadało w bezpiecznej odległości. Głównie na środku zatoki, między kępami żółto kwitnących grążeli.

Wrzask oburzonych kaczek podniecał basiora. Jednak pogoni za skrzydlatym bractwem nie traktował serio. Mając wypełniony żołądek mógł sobie na to pozwolić. Chociaż nie pogardziłby pierzastym kąskiem, gdyby taki w przypadkowych płasach się trafił.

Pochłonięty gonitwami na jakiś czas zapomniał o bólu w łapach. W niepamięć też poszła nadciągająca burza. Dopiero wzrastający wiatr i grube krople deszczu przypomniały o tym, że warto wreszcie rozejrzeć się za odpowiednią kryjówką. Choćby tymczasową. I to szybko, jeśli nie chce zmoknąć. A nie chciał, bowiem wilgotna sierść tylko potęgowała dokuczliwe kręcenie w stawach.

Całkiem znośne miejsce znalazł kilkadziesiąt metrów dalej, w świerkowym ostępie. Leżały tam dwa wsparte o siebie pniaki, tworząc przy ziemi wygodną niszę. Wsunął się do niej, okręcił i legł skulony z głową na przednich łapach.

W lesie ucichło, tylko górą niósł szum coraz silniejszego wiatru. Deszcz jeszcze nie docierał do poszycia. Kryjówka była sucha i w miarę przytulna. Tuż obok wejścia rosły trzy świerczki. Krańce ich gałązek, zwieńczone jasnozielonymi miotełkami świeżych igieł, niemal stykały się ze sobą. Najbliższej gałązki mógłby dotknąć pyskiem, gdyby wyciągnął szyję. Ziemię wokół świerczków upstrzyły opadłe lepkie łuski. W powietrzu dało się wyczuć delikatną woń próchna i znacznie intensywniejszy zapach żywicy.

Spod kory butwiejącego pniaka. wypełził wij. Zalśnił przygaszonym odbłaskiem wielosegmentowy pancerzyk i zgasł w ściółce. Mimo mroku basior niezłe rozpoznawał szczegóły. Dalej stojące drzewa rozmyślała szarość. Leżał, wsłuchując się w dobiegające z żołądka kruczenie. Gdyby nie ono i rosące parcie, byłby już przysnął. Zwłaszcza, że uspokoiło się łupanie w stawach. Zwinięte pod brzuchem łapy tylne powoli się rozgrzewały.

Jednak w końcu na chwilę musiał wyjść; A uporawszy się z potrzebą, prędko do legowiska wrócił. Ciepło z wygniecionego miejsca jeszcze nie uszło. Oczy zamknęły się same.

Po dłuższym czasie ocknęła go wilgoć. Deszcz ściekał wzdłuż pniaków, nasączając poszycie. Przednie łapy zmokły. Ciasniej zwinął się w kłębek. Lecz nie na wiele to się zdało. Wciąż napływały kolejne strużki wody. Od mokrej ściółki zaczął skradać się chłód.

Suchy trzask, podobny do grzmotu, przeszył okolicę. Nie wytrzymało wichrowych porywów jakieś drzewo. Rozkołysane świerki siekła tężejąca ulewa. Mrok co rusz prućy pasma błyskawic.

Wilk nie zmrużył już oka. Wprawdzie burza nie robiła na nim wrażenia, lecz z trudem znosił towarzyszące jej opady. Zwłaszcza tak długotrwałe. Gdy na kryjówce się zawiódł i od połowy nocy do rana drżał z zimna.

Lech M. Jakób

Niepublikowana powieść *Drapieżcy* Lecha M. Jakóba składa się z trzech wątków: szczupaka, orla i wilka. Wilczy wątek powieści będzie kontynuowany w następnych numerach „Dzkiego Życia”.